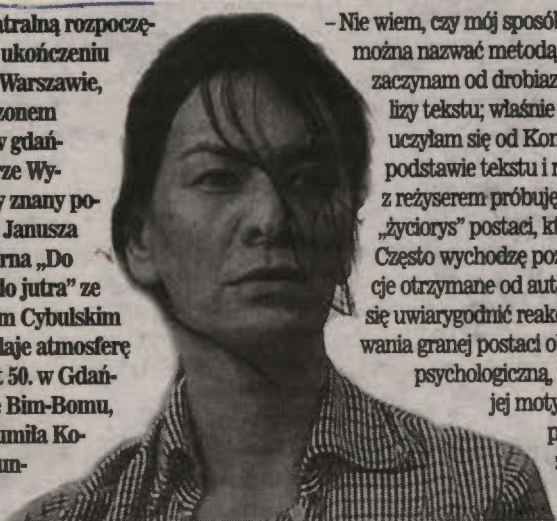


Nie gram wszystkiego

Z ELŻBIETĄ KĘPIŃSKĄ rozmawia Krzysztof Lubczyński

Kariere teatralną rozpoczęła Pani, po ukończeniu studiów w Warszawie, w pierwszym sezonem 1959/1960 w gdańskim Teatrze Wybrzeże. Czy znany poetycki film Janusza Morgensterna „Do widzenia, do jutra” ze Zbigniewem Cybulskim trafnie oddaje atmosferę schyłku lat 50. w Gdańsku, epokę Bim-Bomu, czasy Bogumiła Kobielki, Edmunda Fettinga, Wołowo Bieckiego,



Elżbieta Kępińska w filmie „Grzech Antoniego Grudy” Jerzego Sztwiertni

Jacka Fedorowicza?

– Myślę, że trafnie, ale błędnie przypisuje mi pan zażyłość z tym środowiskiem. Należałam do outsiderów łaskawie przez to środowisko zaakceptowanych, a poza tym byłam tam, niestety, tylko jeden sezon z powodu rozpadu teatru, co było rezultatem konfliktu dyrektora Zygmunta Huebnera, człowieka bardzo samodzielnego i niepokornego, z ówczesnymi władzami.

Zadebiutowała Pani w „Smaku miodu” Shelagh Delaney w reżyserii Konrada Swinarskiego.

Tak. Spektakl ten stał się, obok „Kapelusza pełnego deszczu”, wielkim sukcesem teatru. To pierwsze „jaskółki” współczesnej dramaturgii zza „żelaznej kurtyny”, może niekoniecznie najwybitniejszej, ale nowej, tak różnej od sztuk, którymi karmiony był przez lata nasz widz. W ogóle lata dyrektorowania Huebnera były złotym okresem Teatru Wybrzeże, a także – mogę tak powiedzieć – moim „złotym sezonem”. Oprócz Jo w „Smaku...”, zagrałam Polly w „Operze za trzy grosze” Brechta i Ofelię w „Hamlecie” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Po tym sezonie dyrektor Warmiński zaangażował mnie do warszawskiego Ateneum. Jeszcze w Gdańsku Andrzej Wajda rozpoczął próby sztuki „Dwoje na huśtawce” Gibsona ze Zbyszkiem Cybulskim i mną. Premiera odbyła się już w Ateneum.

Jak wspomina Pani pracę ze Swinarskim?

– Och, wspaniale! Byłam nim po prostu zafascynowana. Zresztą nie tylko ja, a cały nasz zespół! Praca z Konradem to moje największe teatralne przeżycie, doświadczenie, z którego czerpię do dziś. I jestem bardzo szczęśliwa, że pracowaliśmy razem jeszcze dwukrotnie: w telewizyjnym spektaklu „Joanna d’Arc” według Bernarda Showa, w którym grałam tytułową bohaterkę i sztuce Petera Weissa „Marat-Sade” w Ateneum.

Czy zaczęła Pani wypracowywać sobie wtedy jakąś metodę pracy nad rolą?

– Nie wiem, czy mój sposób pracy można nazwać metodą. Wszystko zaczynam od drobiazgowej analizy tekstu; właśnie tego nauczyłam się od Konrada. Na podstawie tekstu i rozmów z reżyserem próbuję zbudować „życiorys” postaci, którą gram. Często wychodzę poza informacje otrzymane od autora, staram się uwiarygodnić reakcje i zachowania granej postaci obudową psychologiczną, zrozumieć jej motyw, kompleksy, urazy, tęsknoty czy ambicje. Nie zawsze mi się to

udaje, nie zawsze otrzymuję od autora wystarczająco dużo informacji, ale zawsze bardzo się staram. Nie umiem pracować na chłodno i nigdy nie zaczynam roli od budowania jej zewnętrznej formy. Forma musi u mnie wynikać z wnętrza, a nie odwrotnie. Nie jestem aktorką bardzo elastyczną, nie umiem zagrać wszystkiego. Ostatnio miałam problem z rolą w „Prezydentkach”, którą zaczęłam akceptować dopiero po kilkunastu przedstawieniach. Wiem, że są koledzy i koleżanki, aktorzy, którzy nie mają takich problemów. Mówi się o nich profesjonalści, więc z tego punktu widzenia nie jestem profesjonalistką. Mnie każda rola bardzo dużo kosztuje, zwłaszcza rola, która do mnie nie przystaje.

Po Pani debiucie jeden z recenzentów nazwał Panią następczynią Ireny Eichlerówny...

– To komplement absolutnie na wyrost. I raczej mnie przeraził ogromem oczekiwań z nim związanych niż sprawił przyjemność.

Jakim partnerem i człowiekiem był dla Pani Zbigniew Cybulski?

– Człowiekiem przeuroczym, ale partnerem bardzo trudnym. Miał bowiem nie tylko mnóstwo różnych zajęć odrywających go od pracy w teatrze, ale przede wszystkim absolutną niechęć do nauki tekstu i do normalnych teatralnych prób. Był z krwi i kości aktorem filmowym.

Domyślałam się, że okres Ateneum wspomina Pani z łezką w oku...

– To najlepszy okres w moim życiu zawodowym. Miałam szczęście pracować ze wspaniałymi aktorami, z profesjonalistami w każdym calu, jak np. Aleksandra Śląska, Jacek Woszczerowicz, Jan Świdorski czy Gustaw Holoubek (grał gościnnie tytułową rolę w „Wujaszku Wani”, gdzie grałam Sonię), a także z reżyserami tej miary co Warmiński, Wajda, Dejmeke czy młody, utalentowany Maciej Prus.

dokończenie na str. 12

Nie gram wszystkiego

Z ELŻBIETĄ KĘPIŃSKĄ rozmawia Krzysztof Lubczyński

której lepszy był pierwszy okres pracy niż lata późniejsze, aktorką pierwszej połowy życia.

W latach 80. mniej Pani grała...

– To dla mnie bardzo trudny okres i niechętnie do niego wracam nawet w myślach. Przepraszam, ale nie chcę o tym rozmawiać.

Grała i gra Pani głównie w repertuarze współczesnym, zwłaszcza kameralnym, a mało ma Pani na koncie ról w klasyce...

– Po pierwsze, lepiej czuję się w repertuarze współczesnym, a po drugie otrzymywałam mało propozycji ról z repertuaru klasycznego. Dojrzano we mnie chyba kwintesencję najpierw dziewczyny, a potem kobiety współczesnej. Repertuar współczesny zostawia więcej miejsca, powietrza na własną interpretację, nie jest obciążony tradycją, pozwala aktorowi czuć się twórcą postaci. Język i koturny klasyki utrudniają mi identyfikację z postacią, a to

jest dla mnie bardzo istotne. Myślę zresztą, że nie predestynuje mnie do wielkiego repertuaru ani mój chropowaty głos, ani moja „chropowata” uroda. Poza tym obecnie coraz trudniej jest opisywać rzeczywistość poprzez klasykę, tym bardziej że współczesna publiczność nie jest tak wykształcona ani tak cierpliwa, by w pełni odebrać smak i sens klasyki. Jest też chyba trochę zagubiona i mniej niż kiedyś skłonna zarówno do zachwyty, jak i do protestów, co obserwuję zresztą bardziej jako widz niż jako aktorka.

A przyjęłaby Pani epizod we współczesnym serialu?

– Tak. Zresztą już to zrobiłam.

Marta Fik napisała o Pani, że grała Pani rolę „kobiet udreńczonych do ostateczności, pożeranych przez namiętności, często na pograniczu normalności i psychopatii”. Czy zawód, charakter ról bardzo wpływa na Pani – by tak rzec – prywatną psychikę?

Fik x 2

– Profesjonalista nigdy nie pozwoli sobie, by zawód nadmiernie wpływał na jego życie prywatne, chociaż czasami balansuje na krawędzi. Lubię takie skomplikowane, pełne lęków przed życiem, dziwne postaci, nie jednowymiarowe, nie płaskie, dla których tekst jest tylko przykrywką czegoś głębszego. Zawsze najpierw szukam odpowiedzi na pytanie – dlaczego, a dopiero potem – jak przełożyć te emocje, te napięcia? Pamiętam, że gdy grałam Simonę Evrard, towarzyszkę życia Marata w sztuce Weissa, której akcja rozgrywa się w szpitalu wariatów, dostałam później listy od psychiatrów, którzy pytali, czy obserwowałam kiedyś pacjentów w szpitalu psychiatrycznym, tak trafnie udało mi się odtworzyć tę postać. Sprawilo mi to przyjemność jako aktorce, bo był to wyłącznie owoc mojej intuicji.

A nad czym pracuje Pani obecnie?

– W listopadzie miałam premierę sztuki „Dzieci Walentego” w rodzimym Te-

atrze Powszechnym. Jest to sztuka wzruszająca i zabawna, z nutką poezji i humoru, na której spektakli gorąco zapraszam. A w przygotowaniu Freddy „Gwałtu, co się dzieje!”. To moje pierwsze spotkanie z tym autorem i bardzo jestem ciekawa rezultatu.

Dziękuję za rozmowę.

ELŻBIETA KĘPIŃSKA – ur. w Częstochowie. Aktorka trzech teatrów: gdańskiego Wybrzeża oraz warszawskich Ateneum i Powszechnego. Ma na swoim koncie dziesiątki ról teatralnych (m.in. Ofelię w „Hamlecie” Szekspira, Friedę w „Zamku” według Kafki, Uczennicę w „Lekcji” Ionesco, Claire w „Pokojówkach” Geneta, Sónię w „Wujaszku Wani” Czechowa, Irinę w „Szewcach” Witkacego). W Teatrze Telewizji m.in. Franía w „Dziewczętach z Nowolipek” wg Poli Gojawicyńskiej, Meg w „Urodzinach Stanleya” Pintera. Wśród ról filmowych: Kazia w „Samsonie” Wajdy, Robotnica w „Dziś w nocy umrze miasto” Rybkowskiego, Basia w „Rozwodów nie będzie” Stawińskiego, Teresa Grudowa w „Grzechu Antoniego Grudy” Sztwierni.